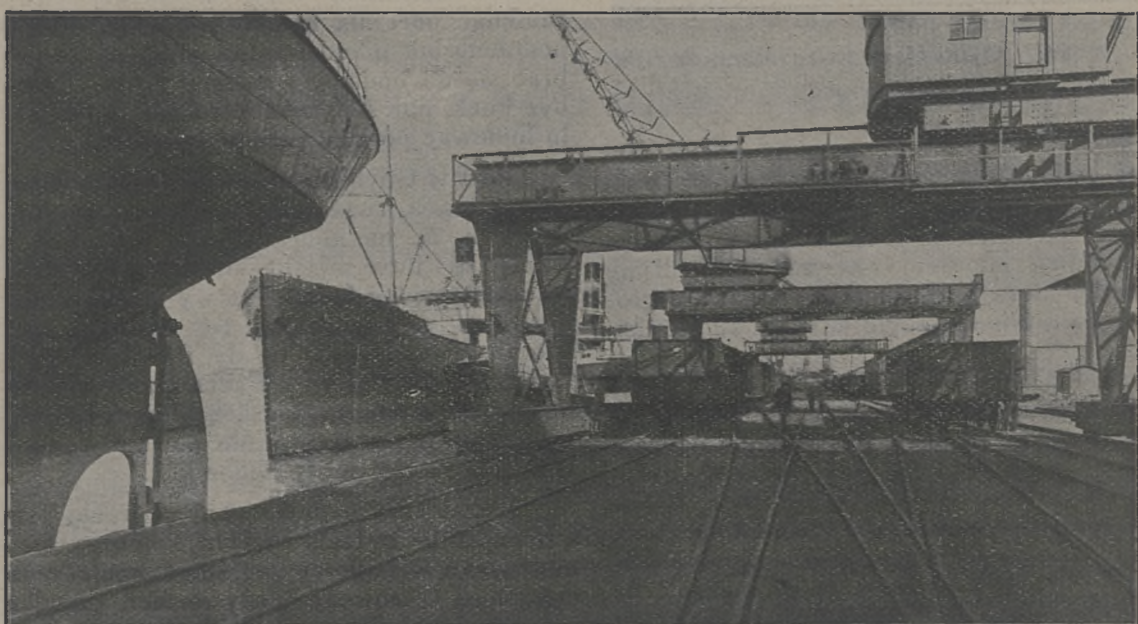
Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 17 WARSZAWA, 16 LISTOPADA 1930 R. CENA 30 GROSZY

GDYNIA—PORT POLSKI



Basen Marszałka Piłsudskiego.

NA DRODZE NOWEJ POLITYKI

Zaczynamy miesiąc poświęcony propagandzie morza. Niestety byliśmy zawsze i jesteśmy narodem, w którym ta propaganda jest potrzebna. Dziwna rzecz. Wszystkie niemal kraje rozumiały oddawna, jak ważną rzeczą dla każdego państwa jest morze. Można powiedzieć, że większość wypadków w dziejach świata rozgrywała się na morzu, a pomimo to naród polski nigdy nie umiał dostatecznie przejąć się sprawą morza. Nie nęcił Polaka handel morski, który innym przynosił tak wielkie korzyści, nie wzbudzały w nim zapału wyprawy morskie, nie rozumiał potrzeby budowania floty handlowej, ni wojennej. Klonowicz mówi w swym wierszu, że — „może nie wiedzieć Polak, co to morze — gdy pilnie orze", szeroko zaś utarła się gadka, że „dosyć posiadać tyle morza, iżby koń mógł się skąpać, a nie utonąć".



Jak wyglądał w 1927 r. dzisiejszy basen Marszałka Piłsudskiego.

Życie pokojowe upływało nam na uprawianiu roli, a częste wojny zwracały całą naszą uwagę na granice lądowe, atakowane ze wszystkich stron. Odgrywaliśmy już od wieków rolę ostatniego szańca kultury zachodniej, mieczem naszym odpieraliśmy niejedną nawałę, która barbarzyńskim zalewem groziła całej Europie. Nie starczyło nam już sił na ekspansję morską.

Pomorze, to nasze okno na świat, wielokrotnie w ciągu dziejów wymykało nam się z rąk, jedyny zaś większy port Pomorza, Gdańsk, był miastem hanzeatyckiem, które niejednokrotnie szło wbrew interesom Polski. Jak długo sprawa morza była Polsce obojętna świadczy najlepiej fakt, że sejm 1569 roku, był pierwszym, na którym rozpatrywano sprawę morza i Gdańska. Dopiero od tego czasu zaczyna się w Polsce jakaś planowa polityka morska, niezawsze zresztą szczęśliwie prowadzona. A był to najwyższy czas do uregulowania sprawy Gdańska, którego własna polityka niezawsze była zgodna z interesami Polski. Wybrana przez wspomniany sejm komisja do sprawy Gdańskiej mówi między innemi: „port zawierali i otwierali wedle woli swojej, brzegi morskie sobie przywłaszczali, dobra, które potoną na morzu, sami brali, miastom przyległym elblążanom i inszym nawigacje zabraniali, kapitany na Latarniej, gdzie są wrota do korony, ludzie obce chowali. W mieście zasię przysięgę zwykłą odmieniali, ludzie służebne nad zakazanie królewskie przyjmowali od postronnych ludzi, przysięgi na imię królów polskich nie brali, hetmany w mieście z ludzi cudzoziemskich mieli i przysięgą je sobie wiązali, glejty łamali, apelacji do króla nie dopuszczali, egzekucji dekretom królewskim nie czynili, poddanych królewskich rozmaitemi podatkami trapili i na roboty przymuszali, banicje nietylko z miasta, ale i z ziem pruskich dawali...".

Wielkie morskie plany Polski trwały niespełna sto lat. Zaczęto budowę okrętów wojennych, a dla uniezależnienia się od Gdańska wzmocniono warowniami port pucki. Niestety dzieje naszych wojen morskich sprawiły, że już koniec siedemnastego stulecia położył kres naszej polityce morskiej, a lotne piaski pokryły dawne warownie nadbrzeżne.

Dziesięć lat temu rozpoczęliśmy nowy okres polityki morskiej. Wskrzeszona w nowych granicach niepodległa Polska uzyskała 137 km. wybrzeża morskiego na ogólną długość granicy 3960 km. Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę, że znaczną część tego wybrzeża stanowi bezużyteczna pod względem handlowym mierzeja Helu, to uprzytomnimy sobie jasno, jak słaby jest nasz dostęp do morza. W dodatku oddano nam morze bez portu, gdyż Gdańsk pozostał wolnem miastem, które w każdej chwili mogło zamknąć port dla handlu polskiego. To też znów, podobnie jak przed trzema wiekami trzeba było zabrać się do budowy własnego portu. Nie mógł nim być Puck, położony nad zamuloną zatoką, trzeba było budować port na pełnem morzu.

Port w Gdyni to nasza największa duma. Intensywna praca, zwłaszcza w czterech ostatnich latach sprawiła, że na miejscu małej rybackiej wioseczki mamy dziś duże miasto portowe, a wielkie parowce transatlantyckie ładują towary w jego dokach. Niedługo już uniezależnimy się zupełnie od Gdańska, który zrozumie może wtedy, ile stracił na odseparowaniu się od Polski. W zeszłym tygodniu otwarto nową linję kolejową, łączącą Śląsk z Gdynią, a idącą wyłącznie przez terytorjum polskie. Oto są realne zdobycze naszej polityki morskiej.

Ale na tem niedość. Aby pogróżki Trewiranusa i niemieckie żądania zwrotu Pomorza nie znalazły oddźwięku w polityce zagranicy, społeczeństwo Polskie musi wyrównać błędy swoich przodków i poprzeć budowę floty morskiej. Propaganda zbierania pieniędzy na flotę będzie najlepszą odpowiedzią na wrogie zakusy.

Bel.

ZLOT

Malownicza okolica jeziora Kiełpiny pod Lidzbarkiem gościła w tym roku Zlot żeńskiej starszyzny harcerskiej. W zlocie brało udział przeszło sześćset uczestniczek z pomiędzy drużynowych i instruktorek z całej Polski. Zlot trwał dwa tygodnie, gdyż



Jezioro Kiełpiny pod Lidzbarkiem.

miał na celu danie możności każdej uczestniczce wydoskonalenia się w obranej przez siebie dziedzinie. Były więc drużyny obozownicze, terenoznawcze, krajoznawcza, sprawności ruchowej, wodna, artystyczna, samarytańska, gier polowych, przyrodnicza, łączności, a oprócz tego cały szereg placówek, jak sklep, poczta, aprowizacja, warty, biuro i t. p., umożliwiało nam to gromadne życie.

Obóz ten w niczem nie był podobny do obozów o typie wojskowym, gdzie mieszka się w wielkich namiotach, i gdzie cała masa, skoszarowana jest razem. Nie, każda drużyna miała swój osobny obóz tak, że na obejście szybkim krokiem całego terenu zlotowego trzeba było pięciu kwadransów.

Zlot się udał. Choć deszcze dokuczały niemal codziennie, choć zimno dawało się we znaki, przecież nie osłabiało to tempa pracy i w każdej drużynie nauczono się dużo. W pracy takiej, jak harcerska, bardzo ważną jest rzeczą, aby bezpośrednie kierowniczki pracy, a więc drużynowe, choć na krótko wracały do



Druga drużyna terenoznawcza.

szeregu i mogły w ten sposób doskonalić swe umiejętności harcerskie.

Obóz jest nieodłączną cząstką pracy harcerskiej i jest jednocześnie jej wykwitem. Ci, co nie byli nigdy w takim obozie, może zainteresują się jego istotą. Znam ludzi, nawet bardzo młodych, którzy za żadne skarby nie mieszkaliby pod namiotem i nie mogą się jakoś odważyć na znoszenie trudów tego leśnego życia. A przecież tak przyjemnie jest uciec na jakiś czas od cywilizowanego życia i pozostawać na łonie natury, poprzestając jedynie na pracy własnych rąk. Zwłaszcza my, ludzie zajmujący się pracą umysłową, tak mało mamy sposobności do pracy fizycznej, do wykonywania jakiejś konkretnej rzeczy. Ciągłe pracowanie tylko umysłem stwarza z nas typy jednostronne, typy ludzi, którzy w życiu praktycznem są często bardzo niezaradni. To też ogromną przyjemność daje w obozie to, że człowiek mieszka pod namiotem, który sam rozstawił (czasem nawet sam uszył), że je to, co sam na kuchni polowej ugotuje.

Każdy z nas przecież za dziecinnych swych lat zazdrościł Robinsonowi, czy innym powieściowym bohaterom, którym dane było żyć w puszczy. Dzięki harcerstwu mamy możność przeżycia swych marzeń



Obóz drużyny artystycznej.

dziecinnych, a choć realizujemy je zazwyczaj w późniejszym wieku, niż czytamy Robinsona, to przecież życie obozowe nic nie traci uroku.

Każdy z nas chce pracować nad sobą. Jakież to trudne nieraz zadanie w codziennym trybie życia! Obóz natomiast stwarza świetne możliwości tej pracy, człowiek czuje się lepszy i chce doskonalić się coraz bardziej. To nastawienie potęguje radosną i promienną atmosferę obozowego życia.

I dlatego, gdyśmy się w tak wielkiej liczbie znalazły nad Kiełpińskiem jeziorem, dobrze nam było. Ileż to nowych rzeczy powstało. Najbardziej efektowna była praca drużyn obozowniczych. Każda z nas niejednokrotnie używała kładki ciągnącej się przez bagno na przestrzeni około stu metrów. Każda z nas podziwiała wspaniałą kuchnię na kiju, gdzie podobno obiad gotował się prędzej niż na zwykłych kuchniach polowych. Każda też podziwiała wspa-

niałe chatki na palach, a niejedna może odważyła wspiąć się na wysoką sosnę, aby choć chwilę spędzić w wygodnem gnieździe, gdzie doskonale można było nocować.

Równie efektowną działalnością mogła się poszczycić tylko placówka prasy, której komunikat



Kuchnia drużyny obozowniczej „dzikiej“.

o przybyciu wizytacji Dyrektora Państw. Urzędu Wych. Fiz. był rozplakatowany na tablicach rozkazów, zanim sam gość zdążył obejść połowę drużyn. Byłoby niesprawiedliwie też nie wspomnieć o hotelu i doskonałym bufecie świetlicy, ale trudno wymieniać wszystko, co było treścią zlotu. Praca każdej drużyny byłaby wystarczającym tematem do długiego artykułu, ale ja nie o tem chciałam pisać.

Dziś, gdy od zlotu dzielą nas całe tygodnie, chciałam druhnom z obozu przypomnieć tę chwilę, kiedy z ostatniego ogniska uniosłyśmy ze sobą żarzące się drwa. Czy pamiętacie? Czy płonie jeszcze w waszych duszach żar naszego wspólnego ogniska? Pamiętajcie — tego płomienia zgasić nam nie wolno!

W. Prażmowska.

James Watt

James Watt, genjalny wynalazca maszyny parowej, urodził się w roku 1736 w Greenock, w hrabstwie Clyde, jako czwarty syn cieśli Watta. Za młodu nie uczył się w żadnej szkole. Czytać, pisać i rachować nauczył się w domu, od rodziców. Jako dziecko był marzycielski i lubiał samotność. Jest rzeczą ciekawą, iż przyszły wielki wynalazca bynajmniej, jako dziecko, nie zajmował się konstruowaniem nowych zabawek, lecz układał bajeczki i baśnie.

Potem pracuje z zamiłowaniem w warsztacie swego ojca, który urządził mu oddzielny warsztacik z kowadłem, ogniskiem i tokarnią. Miał objąć później przedsiębiorstwo ojcowskie, lecz los pokrzyżował te plany. Ojciec stracił majątek — a syn wywędrował do Londynu i tam pracował u jednego z lepszych mechaników. By móc się utrzymać i opłacić naukę przyjmuje prace prywatne, nad któremi siedzi po nocach. Lecz osłabiony organizm zareagował wkrótce chorobą. Nie ukończywszy nauki — wraca do domu; chce sobie otworzyć warsztat — lecz nie otrzymuje zezwolenia władz — ponieważ nie ukończył obowiązkowych siedmiu lat nauki. Na szczęście los mu się uśmiechnął: otrzymał posadę mechanika w uniwersytecie. Tu pewnego razu wszczął rozmowę ze studentem Robinsonem, interesującym się ówczesnemi wynalazkami,

Czerwona Parada

(Ciąg dalszy.)

Zbuntowane oddziały, które złamały daną kiedyś carowi przysięgę — tarły bruk butami.

Ulice uchwycone w linję poszarpanych dachów, wbijały się w mrok, majacząc żółtemi plamami świateł.

Cofnęli się pod naporem kawalerji rosyjskiej, spychając tłum, sterczący poza plecami żołnierzy. Gradem ołowiu zacięło prosto w końskie pyski, u których wisiała biała, oślizgła piana. Kule pruły powietrze, wywracając ludzi, jak małe, drewniane figurki. Rozpędzili szarżę, wypierając jeźdźców pod ogień sąsiednich oddziałów.

Kolbami w pysk. — Poszli dźwigając w rękach ciężkie karabiny. Kolby obracały się naprawo i nalewo, jak skrzydła wiatraków — rozwalając czaszki, wybijając zęby. Dwa kroki naprzód — dwa kroki wtył.

Władek zauważył nagle, że Kownacki oparł się bezwładnie o stojących za nim grenadjerów i począł szarpać kołnierz swej grenadjerskiej kurtki...

W ulicy zamajaczyły kaszkiety polskich szaserów, przypominające kubełki dnem do góry wywrócone. Podnieśli znowu broń do oka i dali ognia do strzelców, cofających się w popłochu po nieudanej szarży. Zęby zacięły się mocno w odgryzane z pośpiechem ładunki. Gdzieś łomotały jeszcze pojedyńcze wystrzały i trzeszczały przenikliwe trąbki kawalerji.

Całą noc leżeli na wilgotnym bruku, mając twarde kamienie pod głową. Skóra wrzynała się w obolałe nogi, jakby kto umyślnie nasypał tłuczonego szkła do butów.

Sypniewski za każdym oddechem czuł nieznośny ból w płucach, który spędzał sen z powiek. Połowę życia oddałby w tej chwili za kilka godzin twardego snu. Zdawało mu się, że najgorsze już minęło. Z przyjemnością cisnąłby do djabła te okute buty. Odpoczniemy.

W wilgotne powietrze wsiąkał chrapliwy świst oddechów i głośne kasłanie chorych.

Po wygasłych ogniach biwakowych, pozostały tylko czarne zgorzeliska i resztki okopconych, przepalonych desek. Tam gdzie stały konie zabitych wołyńców, rozlegał się twardy zgrzyt obijanych podkowami kamieni.

Szara mgła rozdzierała się na ścianach i bagnetach.

który rzucił w rozmowie z nim myśl zbudowania maszyny parowej, mogącej poruszać wóz na drodze. Watt zainteresował się tą sprawą. Idea maszyny parowej opanowała go całkowicie. Pisał wówczas do jednego ze swych przyjaciół: „Wszystkie moje myśli tkwią przy tej maszynie, o niczem innem myśleć nie mogę". Tak więc rozmowa z Robinsonem zadecydowała o jego życiu.

Uczy się języków obcych — gdyż w angielskim nie posiadał literatury fachowej, opanowuje matematykę i bierze się do robienia modeli. To przychodzi mu względnie łatwo, gdyż jest z zawodu mechanikiem. Na wykonywanie modeli wydaje wszystkie zarobione pieniądze i żyje jak ostatni nędzarz. Próby się jednak nie udają. Sprawdza więc raz jeszcze założenie: wszystko w porządku, wszystko należycie obmyślił i przeliczył. Czyżby „pech".

Tymczasem żeni się i ma dziecko. Przyjmuje posadę geometry i pracuje ciężko. O wynalazku jednak nie zapomniał. Nie może się jednak doń zabrać — gdyż wykonanie modelu a później wykupienie patentu wymaga ogromnych kosztów. I oto w samą porę jeden z jego przyjaciół zapoznaje go z przemysłowcem dr. Roebuckiem, potrzebującym, dla użytku swych zakładów i kopalń — dobrej pompy. Trzeba bowiem wiedzieć, iż w owym czasie walka z wodą w kopalniach była bodajże największą troską angielskiego górnictwa. Otóż Roebuck dostarcza Wattowi tysiąc funtów i obiecuje dalszą pomoc finansową. Rezultatu ostatecznego przecież nie widać Roebuck przez pewien czas znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej, zaprzestaje finansowania Watta, którego długi poczynają gwałtownie wzrastać. „Niema nic głupszego nad wynalazczość" — pisze wówczas Watt do jednego ze swych przyjaciół. „Zaczynam 35-ty rok życia, a mam to przekonanie, że dotychczas nie przyniosłem światu pożytku ani nawet za 35 groszy". Oto refleksje, które go opanowały po dwunastoletniej pracy nad modelem maszyny parowej.

Wkrótce potem — los mu się przecież uśmiechnął, wynaleziona bowiem wiertarka przyczynia się do bardziej precyzyjnego wykonania maszyny parowej Watta, która wykazuje niezwykłą regularność i siłę. Teraz udoskonala coraz bardziej swą maszynę i sporządza niebawem model lokomotywy. Jednocześnie wzięto się do zorganizowania fabryki maszyn, której założenie pochłonęło olbrzymią na owe czasy sumę 40.000 funtów — i wynalazek Watta rozpowszechnia się z niesłychaną szybkością.

Żyje jednak wówczas niesłychanie oszczędnie. Wystarczającą ilustracją tego faktu jest suma jednego funta, którą wydawał na utrzymanie tygodniowe. Nie ustaje jednak w pracy i robi cały szereg innych wynalazków. Konstruuje więc śrubę okrętową, mikrometr, prasę do kopjowania. Pomimo coraz większej sławy i powiększonych dochodów — nie ma pieniędzy. Bowiem starania patentowe adwokatów pochłaniają olbrzymią sumę 50.000 funtów szterlingów. Pisze wówczas: „Majątek mój stał się tak mały, iż ledwie wystarczy aby utrzymać mnie na tym świecie". Dopiero gdy w końcu 18-go wieku kończy się termin kontraktu między Wattem, a przedsiębiorcą, produkującym jego maszyny — staje się znów niepodzielnym właścicielem swoich patentów, wolnych już od wszelkich kosztów. Ma wówczas lat 71 — i teraz dopiero stać go na życie — nawet zbytkowne. Nie żył przecież zbytkownie. Bogactwo swoje wykorzystuje w ten sposób, iż odbywa kilka dalekich podróży i nabywa mająteczek ziemski, gdzie z zamiłowaniem pracuje na roli i w ogrodzie. Jednocześnie funduje stypendja naukowe, popiera finansowo uniwersytet w Glasgow i wspomaga twórczość wynalazczą. Umiera w 1819 roku, po ciężkiem i pracowitem życiu, w wieku 83 lat.

L. R.

Żołnierze w niskich, polowych czapkach, leżeli, jak stłoczone, zmiażdżone robactwo.

Zielone światło księżyca ciekło na poniewierające się w błocie, posiekane zwłoki piechurów w granatowych mundurach i drzazgi zrąbanych karabinów o stalowych lufach.

Władek nie mógł zasnąć. Wiedział, że Kownacki leży na przestrzeni zatopionej w zielonawem świetle. Tam leżą niepotrzebni już nikomu kandydaci do urzędowej listy strat...

Poprzez śliską mgłę, przeświecał szary świt.

Ludzie starannie zaciągali białe rzemienie i chlipali mętną kawę, zagryzając suchym chlebem. Bezmyślnie oglądali schlastane błotem buty i portki.

Helmer oderwał zębami rękaw od koszuli i począł zawijać rozprutą bagnetem rękę:

— Mocno mnie drań zajechał, żeby go kolka sparła.

Wkrótce nadjechały ciężkie furgony szpitalne. Koła zacinały się ciągle w lepkiem błocie, które w soplach i pryszczach narastało na osiach i szprychach. Konie prychały, wlokąc się noga za nogą.

Żołnierze pookręcani skrwawionemi szmatami, otoczyli wozy i domagali się miejsca na świeżej, pachnącej słomie. Kto silniejszy, ten znajdował pomieszczenie — słabsi zostawali na bruku, czekając swojej kolejki. Wojna.

W oszalałe mózgi wbiły się wyrazy setki razy słyszane.

Żołnierskie ręce rozebrały stojące w kozłach karabiny. Zziębnięci ludzie stukają okutemi butami. Wiatr gwizdał przeciągle i trzeszczały odłamki szyb, tkwiące w kruchem drzewie. Zacisnęli zęby, bo prawo kazało im słuchać ludzi noszących naszywki. Słuchać i milczeć.

Wracają. Idą zpowrotem tam, skąd przyszli.

Sypniewskiemu zdawało się, że znajdował się na wielkiej tarczy, która wprawiona ciągle w ruch wirowy, runęła gdzieś w przestrzeń. Lepka ziemia usuwała się ciągle z pod nóg i w płucach czuł ból, jakby kto delikatne tkanki rozdzierał szpilkami.

Potykali się na schodach, popychając towarzyszów obarczonych bronią i rynsztunkiem. Któryś z grenadjerów zdjął czapkę i odmawiał modlitwę. Czarne gałęzie za oknami, kiwały się na tle szarego nieba.

— Odlicz!

I potem głosy suche, ochrypłe... raz — dwa — trzy — cztery — pięć... Władek oparł się ciężko o stół. Ogarnęła go senność i odurzał silny zapach spalonego drzewa, przesyconego żywicą.

D. c. n. *Tadeusz Zambrzycki.*

Jesień i wspomnienia

(FELJETON MORSKI).

Istnieje znany dowcip opowiadający, że kiedy po przyjeździe nad morze pewien egzaltowany młodzieniec spojrzał pierwszy raz na łączącą się w oddali z pogodnem niebem błękitną wodę, westchnął smutno i powiedział: Ja myślałem, że morze jest większe!

Długo uważałem powiedzenie to za zupełnie niedorzeczne, lecz kiedy pierwszy raz wyjechałem nad morze, sam przekonałem się, że nie zrobiło ono na mnie takiego wrażenia jakiego spodziewałem się doznać.

Dopiero w jakiś czas potem, kiedy musiałem wracać do Warszawy i kiedy monotonnie stukając na zwrotnicach małych stacyjek, uniósł mnie pociąg spory kawał od wybrzeża, zrozumiałem co się stało. Oto odjechałem z nad morza — może na długo, kto wie, kiedy je znów zobaczę — było mi bardzo smutno. Poraz pierwszy odczułem, że na zawsze już pokochałem morze.

Nie jestem wprawdzie wilkiem morskim, marynarzem, ani podróżnikiem, a jednak tęsknię za widokiem sennych, leniwych, mimo ustawicznego ruchu, fal gładzących żółto - wilgotny brzeg plaży.

Po tym wstępie śmiało już mogę napisać piękne liryczne zdanie, które usprawiedliwi nadany feljetonowi tytuł: Kiedy więc przyjdą długie jesienne szare godziny...

Można zresztą jeszcze inaczej: Gdy deszcz dzwoni o szyby okien, a pokój zalewa zmrok, wówczas wspominam te słoneczne dni i t. d.

Jednak moje wspomnienia morskie całkiem nie pasują do takiego stylu. Są one tylko drobnemi epizodami, czemś, co tkwi w pamięci zupełnie samotnie, jak zapamiętany wypadkiem uśmiech spotkanej gdzieś sympatycznej twarzy.

Pamiętam, siedzieliśmy kiedyś w tak zwanem „gniazdku" — przemiły zakątek na Kamiennej Górze w Gdyni — dzień był pogdny, zdala widać było na horyzoncie Hel, na prawo wejście do portu gdańskiego i mgławe zarysy Gdańska. Przed nami połyskiwała w słońcu Zatoka, a w dali niewiadomo już na morzu, czy na niebie unosiły się ciemne smugi dymu z płynących gdzieś okrętów.

Oto jeden obrazek, a tuż za nim cisną się inne.

Zdawało nam się kiedyś z kolegą, że po łamaczu fal można będzie przejść do portu handlowego, Ano, trzeba spróbować. Weszliśmy na łamacz (jest szeroki około metra) i idziemy. Odeszliśmy kawał od brzegu, z jednej strony woda, z drugiej woda, przed nami też.

Zrobiło mi się jakoś nieswojo.

Pod nami ze dwa metry wysoka cementowa ściana i znów woda — no, myślę sobie trochę zadużo.

Ale trudno, nie wypada się przyznać, brnę dalej. Patrzę, a tu i mój towarzysz jakoś ciągle się na mnie ogląda i nawet trochę zbladł. Idziemy jednak. Niesposób przecież przyznać się do strachu i zaproponować powrót.

Nagle mój towarzysz konstatuje.

— Wiecie, łamacz się kończy nie dojdziemy do portu.

— No więc co? — pytam perfidnie.

— Chyba trzeba wracać.

— To wracajmy powiadam.

— Ale teraz wy idźcie pierwszy — przyznaje kolega — bo mnie się w głowie kręci.

Ano, dobrze. Idziemy. Kiedyśmy doszli do lądu i z uśmiechem zadowolenia zeskoczyli na miękki piasek zapytałem.

— Poszlibyście jeszcze raz na łamacz.

— Wiecie, że chyba nie, to nie ma sensu, a jest dość niemiło.

— Racja.

Proszę się jednak nie śmiać z nas, aniśmy nie stchórzyli, ani co ważniejsze nie pozwolili się opanować lękowi, a że nam było niemiło, to trudno — doprawdy, zbyt dużo wody było wokół.

Uważam, że brawura nie jest rzeczą dobrą, bo można conajmniej postradać — honor.

Mogę i o tem coś powiedzieć. Było tak: wybraliśmy się we trójkę łodzią na morze. Dzień był dość burzliwy i fala tak silna, że siedząc na dziobie łodzi musiałem się trzymać rękami za burty, aby mnie kołysanie nie wyrzuciło poprostu w powietrze (ściślej byłoby powiedzieć do wody).

Otóż mój towarzysz, jak zapewniał, dzielny wioślarz uparł się pojechać na linję statków. (Właśnie odchodzić miała od molo spacerowego „Wanda").

Radziłem mu, aby dał spokój.

— Boicie się? spytał z brawurą. Bo jeśli tak, to nie pojadę.

— No, więc jedźcie!

A niedługo potem czuję, że mój towarzysz zaczyna nagle machać wiosłami jak wiatrak. Przyglądam się, a on ma twarz koloru kostjumu kąpielowego (kostjum miał zielony).

— Wiecie — mówi do mnie szeptem — „Wanda" ruszyła i nie zdążymy już chyba odpłynąć jej z drogi.

— To nie, proszę was, jakby przyszło do czego to przecież rzucą nam ze statku koła ratunkowe.

— A czy tu głęboko? — zapytała zaczynając się niepokoić jadąca z nami koleżanka.

— Z dziesięć metrów.

— Myślę jednak, że byłoby praktyczniej i bliżej wędrować odrazu na dno, niż do brzegu, ja przynajmniej jestem kiepskim pływakiem, a do brzegu jest około kilometra.

Mimo wszystko jednak udało nam się ujść katastrofy, ku niezadowoleniu tłumnie wyległej na pokład „Wandy" publiczności. Oficer z mostka kapitańskiego pogroził nam ręką, fata nas trochę silniej pobujała i koniec.

Tylko, że od tej pory dzielny żeglarz jakoś nigdy już nie znalazł czasu, aby się ze mną zobaczyć i nawet przed wyjazdem nie pożegnałem się z nim.

Oto moje opowieści morskie — osłoda dżdżystego, jesiennego wieczoru.

Bajki z niedalekiej przeszłości, które opowiadać muszę swojej tęsknocie, gdy nazbyt gwałtownie ciągnie moje wierne serce ku morzu.

Michał Ochorowicz.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

NOC

Świętojańskie ogniki, jak z zaświatów duchy,
Uparcie, bezszelestnie wśród mroków krążyły...
W dali słabo gdzieś błyszczał pień spróchniały, suchy.
Pod nagłem tchnieniem wichru wnet jodły odżyły...

I szumią... szemrzą drzewa swe wieczorne żale,
Oparte pniem swym śmigłym na złomie granitu,
I ślą je gdzieś do Boga... w gwiazd srebrzystych dale,
Wśród nocy... aż do ranka, do krwawego świtu...

Dziwna dziś noc zstąpiła, a w jej rozhoworze
Szum jodeł... szept strumyka... zresztą któż spamięta,
Jak to, że cudnie było w ciemnym jodeł borze
I, że ta noc, co przeszła, trwała... jak zaklęta?...

Te - Jot.

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO.

P. Te-jot, Żyrardów.

Opóźnienie w odpowiedzi na list Pański z dnia 17/VI wynikło z wakacyjnej przerwy i gruntownej reorganizacji „Sternika". Bardzo Pana za to opóźnienie przepraszamy.

Wiersz p. t. „Noc" drukujemy. Nie jest to najlepszy wiersz Pański, ale nie chcemy Pana zniechęcać.

Słowo „jontkowe" (żale) pozwoliliśmy sobie zmienić na „wieczorne" tak będzie napewno lepiej.

Za wyrazy uznania dziękujemy i prosimy o dalszą pamięć.

P. Feliks D., Warszawa.

Powinniśmy właściwie porozmawiać z Panem osobiście, gdyż listowna odpowiedź nie sprosta doniosłości poruszonych przez Pana zagadnień.

Wiersz „Do Młodzieży" jest niewątpliwie dobry, jeśli prosta (i bardzo naiwna) wiara autora w pewną ideję— staje za wszystkie wymagane od wiersza zalety. Tak, niestety! nie jest. Utwór poetycki musi być przedewszystkiem dobrze napisany jeśli nie nawet: dobrze zrobiony.

Nie czuje się Pan dobrze w tem rzemiośle. Wierszyk zrobiony jest podle i bez najmniejszego opanowania techniki pisarskiej. Nie mówiąc już o rażących błędach wersyfikacyjnych, jak przesunięcie akcentu (jest — manifest), jak brak rytmu, który, mimo wszystko, jest w wierszu rzeczą najważniejszą.

W ten sposób, idea, choćby najpiękniejsza zatraca się w niedbalstwie formy.

W stosunku do ideologji Marxa mamy poważne zastrzeżenia, co nie znaczy, że w *żadnym wypadku* nie drukowalibyśmy Pańskiego wiersza, nawet gdyby był formalnie dobry.

Sądzimy jednak, że tej właśnie ideologji nie poznał Pan, nie zgłębił dostatecznie — poprostu nie mógł Pan zdążyć.

Przeczytać całego Marxa nie jest tak łatwo, ale uczyć się go z broszurek popularnych i gazet niema sensu. Gdyby Pan zamierzał jednak przestudjować autora „Kapitału", proszę nie zapomnieć o krytykach marxizmu (Berson, u nas Erazm Majewski).

Tyle co do wiersza. List Pański wymagałby osobnej odpowiedzi. Godzimy się z Panem, że „Sternik" powinien zająć się poważniej życiem wewnętrznem szkoły, — ale nigdy w sposób zaproponowany przez Pana.

„Sternik" nie może się stać areną walki polskich uczniów z polską szkołą. Nie myślimy wcale, że ta szkoła jest absolutnym ideałem, ale nie jest rzeczą uczniów wprowadzać zmiany radykalne i — jak u Pana — najzupełniej personalne.

Profesor może być nieodpowiedni, ale byłoby źle walczyć z nim w ten sposób. Gdyby był istotnie zły, dyrekcja szkoły znalazłaby jakiś sposób na niego.

Trzeba się starać poprawiać te błędy i niedomagania w granicach ustalonego porządku, króremu Pan jeszcze podlega.

P. H. Kolbow, Warszawa.

Wiersz p. t. „Lubię wieczorną ciszę" jest napisany nieźle, ale jeszcze nie tak, aby mógł być drukowany w „Sterniku". Najgorsza jest ostatnia strofa, którą należałoby przerobić.

Zupełnie chybione jest zdanie: „Na ziemi już się żyć leni...". Równie złe jest powiedzenie: „kraj, który się jednem: raj mieni...".

Zadużo jest w tym wierszu banalnych chwytów poetyckich: np.: „niech w bezmiarze wiszę", „stwarzam nieziemski świat"; takie zdania są spóźnione o dwadzieścia pięć lat. Dziś poezja ma zupełnie inne pole działania i nie operuje błahemi nastrojami wewnętrznemi.

A może spróbuje Pan wiersz ten przerobić?

HUMOR

Pewien wieśniak udał się do miasteczka na jarmark po kupno krowy. Ujrzawszy wystawione w sklepie rowery, przystanął i zaczął przyglądać im się z podziwem.

— Kupcie, przyjacielu, — zachęcał właściciel sklepu — taka maszyna może wam się przydać.

— Eee, na co mi to? Wolę kupić sobie krowę.

— Ale pomyślcie, jak będziecie wyglądali, jeżeli zajedziecie do miasta na krowie?

— A pan niech pomyśli, jak będę wyglądał, jeżeli spróbuję doić rower!

—o—

Katarzyna II, oburzona wygórowanemi żądaniami śpiewaczki Gabrielli, zawołała:

— Za dwumiesięczne występy chce pani pięć tysięcy dukatów; przecież feldmarszałek bierze mniej!

— Niech Wasza Cesarska Mość raczy kazać śpiewać swoim feldmarszałkom — odpowiedziała śpiewaczka.

—o—

— Antosiu, bój się Boga, jakiś ty zabłocony!

— Wpadłem, proszę tatusia, do rowu i powalałem się.

— W nowych spodeńkach! Jakżeż można?...

— ..Kiedy tak prędko wpadłem, że nie zdążyłem ich zdjąć.

—o—

— Twój tatuś jest szewcem, a ty nie masz trzewików?

— A twój tatuś jest dentystą, a twój braciszek nie ma ząbków!

KRONIKA SPORTOWA

Stoimy na przełomie sezonów letniego i zimowego, wobec czego tętno życia sportowego chwilowo osłabło. Lekkoatleci, wioślarze, pływacy, kolarze zamknęli już do szafy swe koszulki klubowe, wdziewając ciepłe swetry, by odrabiać nieuniknioną i konieczną zaprawę zimową. Piłkarze rozgrywają ostatnie mecze, tennisiści marzą o kortach krytych...

Narciarze, łyżwiarze, bokeiści, no i ich młodsi bracia saneczkarze dopiero szukyją się do rozpoczęcia „swojego" sezonu.

Okres ten, okres bilansów i sprawozdań dla jednych, ustalania programów dla drugich, z natury rzeczy jest przedewszystkiem sezonem prac teoretycznych. Zobaczmy, czy u nas przyniósł już coś nowego.

Jeśli chodzi o przygotowania do zimy, to podkreślić należy ocknięcie się ze snu łyżwiarstwo, tego sportu posiadającego u nas tak piękne tradycje, a przebywającego przez szereg lat w letargu.

Obecnie odmłodzony Polski Związek Łyżwiarski zdradza wielką chęć do ożywionej działalności. Urządzi w Katowicach kurs instruktorski, a przy pomocy Państwowego Urzędu Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk. — kursy przedowników i masowe kursy dla początkujących we wszystkich większych miastach kraju.

Równocześnie wielki nacisk na rozwój łyżwiarstwa w szkołach położyło Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, uważając słusznie, iż jestto wymarzony sport zimowy dla młodzieży, gdyż nie potrzebuje kosztownego sprzętu i drogich urządzeń, ani też specjalnie dobranego terenu, i może być uprawiany z korzyścią i z wielką przyjemnością przez wszystkich, niezależnie od płci i wieku.

Ministerstwo wydało więc okólnik, zalecający szkołom urządzać ślizgawki; w ten sposób, dzięki połączonym wysiłkom wszystkich czynników — łyżwiarstwu polskiemu otwierają się szerokie możliwości rozwoju. A przecież pamiętać trzeba, że przed kilkudziesięciu laty w Polsce odbywały się łyżwiarskie mistrzostwa świata i posiadaliśmy wielkich asów międzynarodowych! Polska niepodległa potrafi chyba dorównać Polsce ciemiężonej? Zależy to w pierwszym rzędzie — od naszej sportowej młodzieży, od tego, czy pośpieszy tłumnie na lód.

Jak wiadomo, uczniom nie wolno należeć do klubów sportowych, a tylko do szkolnych kół. Te ostatnie jednak się tak słabo rozwijają (choć właśnie, by ten rozwój przyśpieszyć, okólnik został wydany), że kwestja modyfikacji stosunków staje się paląco aktualną. Odsunąć uczniów od sportu całkowicie byłoby nieracjonalne i jest... niemożliwe. Trzeba więc znaleść jakieś modus vivendi, przy którem i wilk (sport) byłby syty, i owca (rozwój umysłowy młodzieży) cała. Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby uczniowie wstępowali licznie do kół szkolnych, kierowanych przez oddanych sprawie nauczycieli. Niestety — młodzież się do tych kół wcale nie garnie, nauczyciele się niemi też zbyinio nie interesują. Trzeba więc znaleźć wyjście, którym prawdopodobnie zostanie częściowe i ograniczone wieloma warunkami zmodyfikowanie wspomnianego okólnika.

Trzeba mimo wszystko podkreślić, że jeśli ma ona teraz takie trudności, młodzież sama ponosi winę. Bo przedtem — zbyt szybko i chętnie brała z klubów sportowych to, co mogą one dać złego, a dodatnich, szlachetnych cech sportu często zdawała się nie zauważać.

Miejmy nadzieję, że to doświadczanie jej posłuży, i że jeśli się jej odrkyją nowe możliwości — uczyni wszystko, by wykorzystać je na swoje dobro, i dla dobra Polski.

W. J.

Dział rozrywek umysłowych

Termin nadsyłania rozwiązań z tego numeru upływa w dn. 5 grudnia.

KONKURS „CZY WIESZ?"

Warunki podane zostały w Nr. 13.

ZADANIE VIII.

Skąd wzięte zostały następujące urywki?

1. Dopókiś młody, bawią się ballady,
   Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
   Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady...
2. Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
   Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
   A za mną drugi jedzie krok za krokiem
   Rym z parasolem, z płaszczem i z tłomokiem.
3. Trudno znać siebie powiada przysłowie;
   A ja powiadam: trudniej widzieć siebie...

Za odgadnięcie każdego urywka — 1 punkt.

ZADANIE IX.

Zamiast liter podstawić cyfry w następującem dzieleniu:

3 A5 BA : CAAC = DA
DBBD
 5E 6A
 5E 6A

Za rozwiązanie zadania 2 punkty.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 13.

Zadanie I: Ignacy Tłoczyński — mistrz Polski w tennisie na rok 1930/31.

Zadania II: 1. Zerwanie Sejmu 9 marca 1652 r.
2. Poselstwo polskie w Turcji w r. 1654.
3. Bitwa pod Grunwaldem.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.